

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Helena Mniszkówna
TREŚDOWATA

POWIEŚĆ
Tom drugi

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

I

Lato, wystawa, złota jesień, polowania w Głębowiczach należały do przeszłości. Słotne, zamglone dnie zastąpił mroźny podmuch z północy i siał na obnażoną ziemię wielkie białe płaty. Śnieg sypał, kłębił się, otulał białą puchów nagie gałązki drzew i wysokie ciemnozielone świerki. Rozścielał na ziemi olbrzymią białą oponę. Zakrywał pola, żółtą, przegniłą trawę, przemieniając świat w grootę z cukrów i kryształu. Słońce oczyściło się z chmur, rozpędziło mgły. Otoczone nieskończoną przestrzenią błękitów, uniosło tarczę wysoko, syjąc na mleczną ziemię złote blaski. W śniegu krzeszło iskry, pełne barw drogich kamieni. Pogoda lśniła cudowną zimową szatą, mróz nadawał jej energię i tęgość, orzeźwiająca ludzi. Ptaki kręciły się wśród zamrożonych drzew z kwileniem radosnym. Czerwone gile odbijały rażąco od białej dekoracji, jak wielkie maki wśród łanów dojrzałej gryki.

W Słodkowcach park, ogród, rozłożyste i smukłe krzewy otulają zwoje śniegu. Jezioro, stężale w uścisku lodowego powiewu, bieli się gładką przestrzenią. Filary ganku i schody pokrywa mroźna powłoka. Zamiast kwitnących róż widać pagórki pokryte śniegiem. Kuliste lipy przed pałacem, oblepione sadzą, wyglądają jak wielkich rozmiarów dmuchawce, tak ich gałązki są delikatne i przezrocze. Z niezmiennie białych przestrzeni płynie martwota, skrzępy spokój i wielka potęga skryształizowanej natury. Wszystko jest nieruchome, milczące, niepokalanie czyste, zimne w swej piękności, jak posągowe.

Na końcu wielkiej alei grabowej, jak w korytarzu z alabastru, stoi pod ciężkimi splotami gałęzi wiotka postać, prawie mała wśród mroźnych olbrzymów.

Stefcia opiera się plecami o skostniały pień grabu. Spod czapeczki patrzy na śnieżną przestrzeń i ciemniejszą taśmę drogi. Stoi na wzgórku. Mur okalający park nie zasłania jej widoku.

Wzrok leci i leci w sinawą dal, jaskółczym skrzydłem przebija szafirowy wał lasu i pędzi dalej, bez końca. Jest punkt, gdzie się zatrzymuje, dokąd właściwie dąży, punkt świetny, rdzeń wielkiego koła ziemi, co go otacza. Dziewczyna stoi bez poruszenia. Pomyśleć by można, że szron spadający z drzew i ją ścina w posąg, ziębi ostrym technieniem.

W oczach jej błyszczy tęskna myśl, śle ją na drogę, wysyła daleko... tam, gdzie i dusza rwie się z niepowstrzymaną siłą... Wielkie oczekiwanie czegoś, co napędza rozkoszą, ale tak subtelną, że ledwo wyczuł, jest niepokojące jak oczekiwanie katastrofy. W takiej chwili wzrok, słuch skupia się w sobie, wysila do naprężenia i męczy. Żal odwrócić oczy, aby nie stracić jednego momentu, żal się poruszyć, aby nie spłoszyć najbliższego szelestu. Cała istota ludzka zamienia się w posąg, pod którym można by napisać: „Czy nadejdzie”... szczęście lub rozpacz.

W taki posąg oczekiwania zaklętą była Stefcia. Oczy wpiła w drogę, bojąc się ruszyć. Powstrzymywała oddech w piersi, chwyciła uchem każdy szmer. Przyszła tu wiedzioną przeczuć, że on ma przyjechać i czeka cierpliwie. Nikt jej nie mówił, nikt się go nie spodziewa, ale ona wie, że już jest w Głębowiczach... jakiś głos jej szepce: „Dziś tu będzie”.

Wyjeżdżał daleko, na polowania. Długo nie wracał. Musiał odbyć kampanię zaprosin.

Jak się ten czas włókł sennie, bezbarwnie!... Szare, dżdżyste dnie zdawały się płakać, szlochały drzewa. Wichry jękiem zwabiały wcześniej czarne noce, nieskończone, pełne łkań, skargi, ponurej grozy. Wielka melancholia, ociążałość tych dni bez jaśniejszego promyka dławiała serce. Rwało się wszystko głuchą rozpaczą na widok przegniłych liści, szarpanych wicherą, oślizgłych gałęzi, z łopotem bijących o siebie. Ale natura jest usposobienia wesołego, nie znosi długich łkań, nawet po pięknym lecie nie potrafi płakać bez przerwy. Następuje przesytność smutku: wówczas nabiera hartu, zamraża łzy, chce gwałtem przykryć swą zgniliznę, lecz jej brakuje barw. Nie stać ją już na zieleń i kwiaty. Otacza ją blada złość. Tężeje, tworzy

zwoje bieli, sypie na drzewa delikatną sadź, na szerokie konary rzuca wielkie szmaty puchów. Jest biała jak panna młoda, ale nie odpowiada tej nazwie. Szpeci ją chłód. Pragnie okraszyć się złotem. Rozsuwa ciężkie granatowe zasłony chmur, wypuszczając słońce z uwięzi. Radosny, rozweselony, wyspany, wygląda złocisty krąg na świat Boży i staje w osłupieniu. Blednie z przerażenia, cofając się wysoko w górę. Gdzie są łąki pełne kwiatów? Gdzie owoce, gdzie drzewa zielone, które zmieniły się pod jego tchnieniem w śliczne, jaskrawożółte lub krwawe jak pożar? Rozpanoszyła się biel oślepiająca i pokryła wszystko grubą warstwą. Jakby na urągowisko wywołuje słońce, by spoglądało na jej martwość. Złoty krąg cola się w górę, rzuca słabe ukośne promienie. Jest nieufne, oburzone. Tyle wieków patrzy ono na kaprysy ziemi i zawsze się zdumiewa. Przez ciąg wiosny i lata zapomina o przyszłych szarzynach.

Szczęście zagłusza wszystko, co nie ma złota w blaskach. Gdyby się działo przeciwnie, rozkosz w szczęściu nie byłaby całkowitą. Słońce wyrzuca sobie własną opieszałość, przygotowuje się do walki z ziemią. Przeczuwa wiele pracy, zanim ten pancerz lodowy rozkruszy, zanim spruje pyszną szatę ze srebrnej lamy, ciężko strojącą świat. Ze wzdargą spogląda na groźne szańce śniegu i systematycznie rozpoczyna pracę. Wypatruje ciekawie, aby znaleźć najsłabsze miejsce, uderzyć i przebić zaporę. Wszędzie napotyka ostre uzbrojenie: chłód, marmur bieli, mróz. Zniechęcone przeglądem zaczyna się zasuwać do snu. Jest gniewne, płonie gorącą falą, stacza się niżej i niżej, zalewając ziemię potopem czerwieni. Ciska na błądy koloryt nieba snopy jaskrawych obłoczków – swych paziów. One zapowiadają niewdzięcznej ziemi następującą noc – jako karę słońca.

Stefcia stoi w łunie pożarów, rozświetlona, rozbłysła ogniem. Mruży oczy, różowe płomyki ślizgają się po jej twarzy. Dla niej ta biała szata nie przyniosła zmiany. Dnie wloką się tak samo nieskończenie mętne, bezświetlne, jak wówczas gdy mroki i wichry panoszyły się wszechwładnie. Piękna, chłodna biel trwała już czas jakiś, ale srebrna droga pusta. Głucho było w duszy Stefci. I teraz łuny się palą na niebie, idzie mroźna, długa noc. Przeczucia zawiadły: coś, co ją pchało na ten wzgórek, skryło się, pozostało bez nazwy. Droga błyszcząca, wyslizgana złościła się do najdalszych granic zachodem słońca. Białe pola przybrały ton delikatnej barwy różowej. Wierzby strojące drogę miały fioletowe odcienie; im dalej w głąb, tym stawały się bardziej fioletowymi. Małe stadka szafirowych kawek spadały z głośnym krzykiem na zamrożone łąny, błyszcząc niby dzęty na pluszach. Czasem zrywały się, jakby przestraszone.

Nagle w uparcie wpatrzonych oczach Stefci coś zamajaczyło. Na różach pól, w oddali, wśród fioletowych wierzb, ukazał się punkcik drobnutki, zaledwo widoczny. Ale pojawiwszy się, nie zniknął. Rósł w oczach, wyrażniał, potężniał i sunął naprzód. Jak błyskawica, ukazując się, zatamowuje oddech w piersi w oczekiwaniu gromu, tak Stefcia, wpatrzona w płynący punkt, znieruchomiała. W ciszy krwawego zachodu zadźwięczało w oddali i rozlewało się brzmieniem coraz głośniejszym.

Dziewczyna, niby rażona gromem, zadrżała. Ramiona jej podniosły się do ucieczki, ale nogi miała jak z ołowiu. Chciała się zerwać, biec w głąb parku i nie mogła. Przestraszona, burza wzruszeń odbiła się na jej twarzy. Poznała janczary z Głębowicz.

Nie omyliło przeczucie.

Z wysiłkiem zdołała się cofnąć głębiej. Oparta o oszroniały pień, z szalonym wirem w pulsach słuchała brzęku janczarów i parskania kłusujących rażno koni. Łowiła uchem lekki skrzyp płóz i delikatne dźwięczenie uprzęży. Spod przymkniętych oczu widziała eleganckie sanki i parę tegich koni, przykrytych szafirową siatką. Widziała ich wygięte głowy, rozwarte chrapy i oczy czerwone w zachodzie słońca jak pochodnie. Widziała koło uszu końskich powiewające ogony lisie, futrzaną liberię stangreta i lokaja, złote guzy, błyszczące jak świece. Serce jej tłukło w piersi, miała wrażenie, że pęknie i że zajdzie coś złego. Wrażenie rosło, stało się strasznym. Sanki przed murem skręciły w bok. Stefcia zdrętwiała, rozkołatane serce zamarło. Siedzący w sankach mężczyzna zrobił nagły ruch, jakby chciał wyskoczyć. Lecz się

wstrzymał, tylko drżącą ręką uniósł czapkę, pochylając nisko wytworną głowę. Sanki pomknęły, dźwięcząc już niewidocznymi janczarami.

Stefcia schwyciła się za głowę.

– Przyjechał! – krzyknęła w oblakaniu – widział mnie!

Szczście bezmierne wrzało w jej duszy, kipiało we krwi. Porwała się z miejsca i lekka jak ptak pobiegła śnieżną aleją w stronę pałacu. Na zakręcie, koło zamrożonego basenu fontanny, stanęła. Krew zastygła w jej żyłach. Naprzeciw szedł Waldemar.

Zbliżał się pędkiem, w rozpiętym futrze, z oczyma utkwionymi w niej. Obok biegł w su-
sach Pandur, dopadł do Stefci i wesoło poszczekując wspinał się łapami na jej żakiecik. Dziewczyna oniemiała. W głowie jej huczało. On!...on!...

Michorowski stanął przy niej, w milczeniu wziął w swe dłonie jej zlodowaciałe ręce. Wpatrzeni w siebie, nie mogli przemówić. Jego oczy były granatowe, fale przelatowały mu przez twarz. A Stefcia, choć niewyraźnie, czuła, że to przełom, że mgły błękitne pierzchają, otwierając złote wrota, aby ukazać jej prawdę niesłychaną a cudowną. Czuła, że jej marzenia, sny niepochwytne ubierają się w formy prawdziwe, przeczucie mówiło, że ta nowa szata będzie jeszcze droższą od dawnej. Stefcia przeżywała jedną z chwil, w których dusza ulatuje z człowieka w tęczowej aureoli niezmiernego szczęścia.

On cisnął jej ręce w dłoniach, siłą oczu wdzierając się w głąb jej duszy. Stał poważny z męskim dreszczem rozkoszy, z nie znanym dotąd, już rozkwitłym uczuciem. Stał pewny swej siły, świadomy celu, trochę dumny z uroku, jaki wywierał. Pochylił głowę i długo a serdecznie ucałował ręce drżącej Stefci. Oczy jego mówiły: „Czekałaś na mnie... tęskniłaś... oto jestem i... i...” Stefcia zrozumiała, oblał ją gorący war. Powoli, z dygotem szczęścia, wysunęła dłonie z jego rąk i zaczęła iść szybko do pałacu.

On postępował obok.

Nie mówili do siebie nic. Pandur wyprzedził ich, stanął na marmurowych schodach werandy i patrzył na zbliżającą się parę z podniesioną głową i powagą w swych rozumnych, psich oczach. Dziwił się, że nie uważają na niego.

Byli już koło werandy. Nikt nie wychodził.

Otwierając drzwi, Waldemar rzekł pierwsze słowa:

– Pani odgadła, że dziś przybędę. Czy to przeczucie?

– Tak.

– Więc sugestia! Jadąc myślałem, że zastanę panią w parku, i... ujrzałem cię w tych zor-
zach wieczornych. Odesłałem konie od bramy, by cię powitać pierwszą.

Słowa jego sprawiały Stefci niewysłowioną rozkosz. Na odgłos otwieranych drzwi zjawił się Jacenty z całym zastępem lokai.

Ruch powstał w cichym przed chwilą pałacu.

– Ordynat przyjechał – brzmiało wszędzie, wywołując radość ogólną.

Do wieczery zasiedli wszyscy w wybornych humorach. Pan Maciej, rozczulony przy-
jazdem wnuka, patrzył na niego jak w obraz. Pani Elzonowska wypytywała Waldemara o po-
lowania i znajomych. Pomimo częstych sprzeczek witała go mile: jego wytworność i trochę
sarkastyczny dowcip działały na nią ożywczo. Waldemar odpowiadał na zapytania uprzejmie,
ale męczyły go te wywiady. Głównie pani Idalia i pan Ksawery nie dawali mu spokoju. Lucia
i Stefcia siedziały najcichsze, tylko dziewczynka bez przerwy wpatrywała się w Waldemara, a
Stefcia wyraźnie unikała jego wzroku. Bała się, aby z jej źrenic nie wyczytał tego, co powie-
działy jego oczy w zaśnieżonym parku. Nie domyśliła się, że i on odgadł wszystko, że zajrzał
do głębi jej duszy, wyczuł tętno jej serca...

Ogarniał ją niepokój. Miała wrażenie, że coś wisi w powietrzu i spadnie na jej głowę. Czuła gorączkę, jakiej się doznaje przed odjazdem w daleką podróż, w ostatniej chwili poże-
gnania z najdroższymi. Męczyła się, nie pojmując, skąd pochodziła ta niepojęta trwoga, coraz
bardziej wzrastająca. Lekką bladość na jej twarzy zauważył pierwszy ordynat, dostrzegł po-

mieszanie dziewczyny, lecz nie chciał jej dręczyć pytaniami wobec wszystkich. Jej niepokój udzielił się jemu...

Pan Maciej popatrzał na nią przeciągle. Zachowanie się Stefci zastanowiło go.

– Co ci jest, dziecko?

– Boję się... – odparła szczerze.

Spojrzeni po sobie. Mgła przeleciała po twarzach.

– Ale czego?

Zapytana uśmiechnęła się blado.

– Proszę nie uważać na mnie. To minie...

Rozmowa przycichła. Wszyscy byli zwarzeni.

Herbatę podano w małym salonie. Przy płonącym kominku, rozmowa ożywiła się.

Nagle wszedł służący, niosąc srebrną tackę. Zbliżał się wprost do Stefci. Ona wpiła w niego oczy.

– Co to? – spytał ordynat.

– Telegram, proszę jaśnie pana, do...

– Do mnie! – zawołała Stefcia.

Lokaj skłonił się twierdząco.

Wszystkich oczy spoczęły na niej, potem na twarzy ordynata.

– Tak, do pani – rzekł ten ostatni powstając i oddał jej kopertę.

Rozerwała opaskę. Na policzkach miała gorące wypieki.

Obecni zataili oddech w piersi. Niepokój nauczycielki przy obiedzie i ten telegram do niej przeraził ich.

Stefcia przeczytała i opuszczając papier na kolana, rzekła bezdźwięcznym głosem:

– Babcia umarła. Wzywają mnie na pogrzeb.

Odetchnęli. Spodziewano się czegoś gorszego.

Tylko pan Maciej zadrżał, jakby mu widmo zajrzało w oczy.

– Czy to zmarła babcia Rembowska? – spytała Lucia.

Stefcia wybuchnęła płaczem.

– Tak. Biedna babcia! Tak ją kochałam!... Boże! Boże!...

– Długo chorowała?

– Zmarła nagle w Ruczajewie... Nic nie rozumiem. Babcia bawiła ciągle za granicą. Muszę zaraz jechać, inaczej nie zdążę: telegram spóźniony.

Zerwała się z miejsca. Młody Michorowski spojrzał na zegarek.

– Czy pani stanowczo chce dziś jechać?

– Muszę. Abym tylko zdążyła na pociąg.

– Na pociąg pani zdąży, ale trzeba jechać zaraz, a teraz noc.

Złożyła ręce błagalnie.

– Ja muszę jechać prędko.

– Ha, w takim razie każę zaprzęgać.

Przeszli do sali jadalnej. Waldemar wydał odpowiednie polecenia.

Pani Idalia wzięła Stefcię za rękę.

– Musi się pani pakować. Tylko proszę nie płakać. Biedna Stenia! – rzekła całując dziewczynę w czoło.

Lucia płakała na dobre.

Razem wyszły, udając się do swych pokoi.

W sali został pan Maciej w obszernym fotelu. Waldemar chodził nerwowym krokiem ze zmarszczoną brwią i płomieniem w oczach. Pan Ksawery kręcił się sennie. Trwało milczenie. Kroki Waldemara rozlegały się jednostajnie w sali. Wielki zegar tykał poważnie.

Pan Maciej siedział zaszępioty. Spod brwi rzucał szybkie spojrzenia na chodzącego wnuka. Naraz zapytał:

– Czy nie wiesz, jak się nazywała z domu jej babka?

Zagadnięty potrząsnął głową przecząco. Starzec dotknął ręką czoła.

– Dziwnie mię wzruszył wyjazd Stefci i... ta śmierć.

Wszedł lokaj, oznajmiając, że konie gotowe. Za nim weszły panie. Stefcia już w czapeczce na głowie i w ciepłej sukni. Oczy miała zaczerwienione, usta pałające i jasne kolory na twarzy. Wzruszona zbliżyła się z pożegnaniem do pana Macieja. Staruszek bez ceremonii przyciągnął ją do swej piersi. Przemawiał do niej jak ojciec. Lucia płakała rzewnymi łzami.

– Stefcia, powrócisz prędko do nas, prawda?

– Będę się o to starała.

Gdy podeszła do Waldemara, cichy spazm zatkał w jej piersi. Jemu drżały usta. Pierwszy raz wobec wszystkich ucałował jej rękę.

Pan Maciej drgnął. Pani Idalia zacięła wargi, zwiężając oczy w typowe szpareczki. Lucia spojrzała z rodzajem tryumfu, jakby mówiąc: „Ja o tym dawno wiem”.

Wychodzili do przedpokoju. Pan Maciej zatrzymał Stefcię za rękę.

– Moje dziecko... twoja babka nazywała się Rembowska. Czy tak?

– Stefania Rembowska – odrzekła Stefcia i pociągnięta przez Lucię, wyszła z sali. Dziewczynka coś jej szeptała do ucha.

Pan Maciej został sam. Drzwi do przedpokoju były otwarte. Oparł się ciężko o ścianę i drżący zwrócił zdumione oczy na żyrandol, jakby liczył w nim pojedyncze światelka.

– Co to jest?... Stefania? Co to jest?... Ach, przewidzenie!

Postąpił krok i zawołał głośno:

– Waldemarze!

Stefcia, już ubrana, schodziła do dolnej sieni. Otwierano wielkie drzwi na ganek. Lucia i ordynat szli z nią razem. Pani Idalia, oparta o poręcz schodów, usłyszawszy okrzyk ojca, zawołała:

– Waldy, dziadek cię prosi!

Trochę niecierpliwie spojrzał na ciotkę i szybko wpadł na górę. W roztargnieniu nie zauważył niepokoju pana Macieja.

– Zapytaj Stefci, jak z domu jej babka... Prędzej!...

– Co się stało?

– Prędzej!

Waldemar wybiegł z powrotem. Stefcię zastał na ganku. Lokaj otwierał karetkę na sianach. Noc była jasna, księżycowa, skrząca od mrozu i śniegu. Konie parskwały, słupy skrzepłej pary wychodziły z ich nozdrzy. Na koźle siedział Benedykt i lokaj kareciany z Głębowicz. Ordynat umieścił Stefcię w karecie. Sam otulał jej nogi wilczura.

– Przepraszam. Jak nazywała się babka pani?

Stefcia spojrzała zdziwiona.

– Rembowska.

– To wiem, ale z domu?

– Stefania Korwiczówna.

Michorowski wstrząsnął się. Krew uderzyła mu do głowy.

– Co panu jest? – spytała przerażona Stefcia.

– Nic, nic! Do widzenia! Niech pani oszczędza się i... jak najprędzej do nas wraca. Czy dobrze?...

Stefcię chwycił płacz.

– Nie wiem – wyjąknęła.

– Proszę o to bardzo.

Ucałował gorączkowo jej ręce i zatrzęsął drzwiami.

– Benedykt! uważnie jechać. Wawrzyniec niech na dworcu wszystko pani ułatwi – krzyknął.

Niecierpliwe konie ruszyły z miejsca.

Waldemar patrzył za oddalającą się karetą, po czym odwrócił głowę w stronę, gdzie stały inne sanki.

– Pan ordynat jedzie? – spytał Jacenty.

– Nie wiem. Pewno nie. Czy aby szczęśliwie dojadą?

– Jasna noc, jak dzień. Droga jak po stole i przecie Benedykt na koźle – rzekł uspokajająco Jacenty.

Waldemar wszedł do sieni i wstępował na schody ciężkimi krokami. W głowie mu huczało, był blady. Wchodząc na ostatnią kondygnację schodów, zobaczył stojącego u ich szczytu pana Macieja.

Starzec wyglądał jak posąg. Nieruchomy, zmartwiał, opierał się ciężko o aksamitną poręcz. Oczy wpił we wnuka. Patrzyli na siebie w milczeniu, z przerażeniem... i zrozumieli się.

– Ona?... – jęknął starzec.

– Jest wnuczką tamtej – dokończył Waldemar.

Pan Maciej chwycił się za piersi. Twarz mu zsiniała. Ordynat poskoczył do niego.

– Dziadziu! Na Boga!

Starzec zwił mu bezwładnie w ramionach.

W kwadrans potem młody Michorowski wyszedł z sypialni dziadka do wylekłej służby blady, ale spokojny.

– Konie, którymi miałem udać się na kolej, niech natychmiast jadą po doktora. Pan zachorował.

Służba rozchodziła się w milczeniu.

II

W Ruczajewie zapadł cichy wieczór zimowy. Śnieg sypał gęsty, rozpylając się w białe tumany. Od ganku obszernego dworu odjechały sanki, które przywiozły Stefcie. Weszła witana przez rodziców, rodzinę i służbę. Twarze rozjaśniły się na jej widok. Stefcia w objęciach matki zapomniała o istotnym powodzie przyjazdu. Tulila się do niej z cichym łkaniem. Pani Rudecka odgadła, że to coś innego niż żal po babce.

– Spóźniłaś się trochę, dziecko – mówił ojciec – już jest po eksportacji. Jutro pogrzeb.

– Ja, ojcusiu, wyjechałam natychmiast, ale telegram był spóźniony.

Wszyscy przyglądali się Stefci z ciekawością, matka z rozczeniem. Od czasu wyjazdu z domu dziewczyna wyładniała i nabrała powagi, zwłaszcza dystynkcji, potęgującej naturalny wdzięk. Ojciec znalazł w niej różnicę nawet od jesieni: w jego oczach Stefcia zwątpiała. Jej śliczna cera nabrała tonów bledszych, stała się podobną do konchy perłowej. Różowe, kształtne usta uśmiechały się mniej wesoło. Oczy mogły zastanawiać. Fiolet ich wzmocnił się, delikatne brązowe obwódki i długie rzęsy ocieniały je w sposób nieco tragiczny. Wszystkie wrażenia jej duszy odzwierciedlały się w nich. Błyszczące iskry krasily je, nadawały wyraz bujności temperamentu i lekkiej egzaltacji. Odgadywało się w ich głębiach uczucia jeszcze inne: tęsknoty, smutku, może nawet żalu nie wypowiedzianego jasno... Jeden z jej młodych kuzynów, Narnicki, wyraził się o niej, że jest tak natchniona, że dawne diabluki w jej oczach wprawdzie nie zginęły, lecz stały się innymi, mniej błyszczącymi, ale więcej przykuwającymi. Nastrój całego domu był poważny, więc niezwykła powaga Stefci nie raziła. Ją zastanawiał ojciec i matka. Widziała w nich zmianę, spoglądali na nią z obawą. Troska malowała się zwłaszcza na czole ojca. Gdy dziewczyna wspomniała rodzicom coś o panu Macieju, oboje przybledli i zamienili z sobą szybkie spojrzenia. Stefcie to zaniepokoiło. O Waldemarze starała się nie mówić. Nikt zresztą o niego nie pytał.

Tylko raz kuzyn Narnicki zagadnął ją znienacka:

– Czy Słodkowce to prywatny majątek, czy jedno z dóbr ordynackich?

– Prywatny majątek.

– A w jakim wieku jest ordynat?

Stefcia zaróżowiła się najniepotrzebniej.

– Ma lat trzydzieści dwa.

– Ach, to zupełnie młody człowiek! – zauważył Narnicki, patrząc na nią badawczo.

Pan Rudecki podchwycił:

– Widziałeś jego portrety w dziennikach, gdy obejmował ordynację po śmierci Janusza i po wyprawie do Afryki.

– Tego nie pamiętam. Ale przypominam sobie, że podobizny jego podawały pisma po wystawie. Przystojny człowiek, a nade wszystko...

– Wspaniały... czy tak? – rzekł pan Rudecki.

– I typowy wielki pan. Można to poznać od razu. To nie jakiś dorobkiewicz udający pana, ale karmazyn rodowy. Widać to nawet z twarzy. Ma przy tym wiele pewności siebie i dumy, ale w dobrym rodzaju.

Stefcia miała ochotę wypowiedzieć, jakim jest Waldemar, ale czuła, że nie potrafi mówić o nim obojętnie. Ograniczyła się do krótkiej uwagi:

– Kuzyn ma słuszość. Prawdziwa arystokracja różni się pod każdym względem od swych naśladowców. Szczególnie przy bliższym poznaniu różnica występuje znamienne i bardzo na jej korzyść.

Pan Rudecki spojrzał z ukosa na córkę.

– Byle nie przy najbliższym – szepnął do siebie, a głośno dodał: – O tym najczęściej decydują fakty.

Nie bardzo rozumiano, co chciał przez to powiedzieć. Późno w nocy, gdy się wszyscy rozeszli, Narnicki swe uwagi o Stefci sformułował w jeden pewnik:

– Jest pod wpływem arystokracji, zwłaszcza ordynata – może nawet...

Nie chciał dokończyć myśli, gdyż Stefcię widział od dawna w swym programie życiowym – teraz punkt ten podkreślił jako stanowczy.

Pogrzeb na drugi dzień odbył się z licznym udziałem okolicznego obywatelstwa, chociaż zmarła nie była stałą mieszkanką Ruczajewa. Zwłoki złożono tymczasowo w rodzinnym grobie Rudeckich, skąd potem miano je przewieźć do majątku Rembowski.

Stefcia w orszaku żałobnym odmówiła ramienia Narnickiemu. Szła sama, trochę z boku, brnąc w śniegu zmiecionym ze środka drogi. Czarne ubranie i welon krepowy dodawały smukłości jej zręcznej postaci. Szła smutna i zamyślona. Zmarłą babkę widziała przed rokiem, wówczas gdy Prątnicki bywał w Ruczajewie jako starający się.

Siwa staruszka wzbudzała poszanowanie, przy wielkiej słodyczy obejścia. Rysy twarzy, jakkolwiek zwiędłe, zachowały do końca regularność linii. Zastygła w nich tragedia, przeżyta w zaraniu życia. Stefcia była żywym portretem babki, co stwierdzały stare jej fotografie.

Od wczesnego dzieciństwa, słysząc o jakiejś smutnej historii w młodości babki, Stefcia interesowała się nią niezmiernie. Ale jakiego rodzaju mogły być te smutki, nikt nie chciał jej objaśnić. Staruszka, zapytana wręcz, zbladła, zalecając wnuczce, aby na przyszłość nie zadawała podobnych pytań.

Babka Stefci od dawna cierpiała na serce, uważano bardzo, aby jej nie rozdrażniać. Z tego powodu nie wiedziała długi czas, że Stefcia nie jest w domu. Wiadomość o zerwaniu z Prątnickim staruszka przyjęła ze wzruszeniem, nie chciano tego ponawiać.

Śmierć staruszki była dla Stefci zagadką. Na wszelkie jej pytania ojciec odpowiadał:

– Dowiesz się potem.

– Może ja gram tu jaką rolę? – pytała siebie Stefcia.

Ciekawość dręczyła ją, zachowanie się ojca niepokoiło. Gniewał ją także Narnicki. Stefcia łatwo odgadła, że on ma względem niej zamiary. To ją zirytowało, postanowiła zaraz po pogrzebie wyjechać z powrotem do Słodkowic.

Zadrzała na tę myśl, oczy zaćmił obraz Waldemara widziany ostatni raz, krótko, lecz pamiętnie. Powitanie ich w parku nie schodziło jej z myśli. Wówczas wyraźnie odczuła, że jest kochaną. We własnej duszy odkryła tę prawdę już dawno. W czasie jego długiej nieobecności utwierdziła ją w tym tęsknota tak silna jak sama miłość. Kiedy przy pożegnaniu pocałował ją w rękę, żar jego pocałunku wstrząsnął nią, biorąc górę nad zmieszaniem z powodu obecności wszystkich. Widziała jego sanki, oczekujące przed gankiem. Jacenty wyjawiał ich cel. Waldemar miał ją odprowadzić na stację. Coś jednak zaszło, że tego nie skutecznił. Może pani Idalia przeszkodziła? Na nią by nie uważał. Więc pan Maciej?

Ostry ból przeszył serce Stefci, ale rozumiała, że trudno wymagać od starego magnata, aby tolerował postępowanie wnuka idące w takim kierunku. Ta pewność spotęgowała jej żal i trzeźwiła ją.

– Nie wolno, nie wolno mi myśleć o nim! – powtarzała sobie z uporem.

Idąc po kopnym śniegu zmęczyła się, rozmyślenia o Waldemarze zaciężyły jej. Ogarnęło ją znużenie. Gdy podszedł Narnicki podając jej ramię, tym razem nie odrzuciła go. Oparła się na nim ciężko. Nic mówili do siebie nic. Stefcia pochyliła głowę i przytknęła oczy. Chciała sobie uprzytomnić, że idzie w ten sposób z Waldemarem, lecz nic potrafiła, czując, że tego z tamtym nie można porównać. Wstrząsnęła się. Narnicki pochylił się do niej.

– Czy ci nie zimno, kuzynko? Może jesteś zmęczona? Zaprowadzę cię do sanek.

– O nie, wolę iść piechotą.

Narnicki patrzył z boku na jej śliczny profil, widział jej poruszenie, lecz składał to na wrażenia wyłącznie pogrzebowe. Szary, mglisty dzień i długi kondukt, wijący się pod górę z czarnym wozem i krzyżem, nasuwał posępne myśli. Na szczycie pagórka czerniały wysokie

świerki cmentarne, gąszcz krzyżów tulił się pod masą drzew. Zimowe ptactwo świergotało, mieszając swe głosy z monotonna, urywaną nutą śpiewu. Ciężki żal owiewał idących ludzi. Za żałobnym orszakiem płynęły przejmujące głosy dzwonów, na spotkanie szumiały tęsknie świerki. Kondukt sunął wolno, poważnie, wiodąc pomiędzy drzewa i krzyże jedną z dusz ludzkich, skolataną życiem.

W ceremonii pogrzebowej jest zawsze ponury i groźny nastrój. Bezmierny smutek, beznadziejność skłania do głębszych rozmyślań. Nigdy nie rozwiązane zagadnienie tajemnicy pozagrobowego bytu, nieprzenikniona abstrakcja przyszłego istnienia muszą oddziaływać poważnie, nawet przerażać. Odczuwa się niepokój i dreszcz obawy, a jednocześnie budzi się zaciekawienie, jak tam jest i co się roztacza przed ludzkim duchem. Stefcia, zwykle bardzo wrażliwa, odczuwała to głęboko. Śmierć wydała się jej pierwszy raz straszną. Czuła, że kocha życie, kocha świat. Nie ukrywała już swych uczuć przed sobą, kochała Waldemara całą potęgą młodej duszy. Dawna skłonność do Prątnickiego przy nowych uczuciach była kroplą mgły wobec oceanu, sam Prątnicki karykaturą, robaczkiem. Bo każda rzecz wzniosła zagłusza nędzną. Kłosa zawsze zaćmią kąkole, choćby te były najbarwniejsze.

Z uczuciem smutku wsiadła Stefcia do sanek po skończonym pogrzebie. Śpiewy, dzwony, woń kadzidła – rozdrażniły ją. Nerwy miała poruszone, bujna jej wyobraźnia przedstawiała wizje męczące. Ocknęła się w domu, zgodziła się nawet na ciągłą obecność Narnickiego, byle zapomnieć, byle zrzucić z siebie nieznośny ciężar.

W parę godzin po powrocie z cmentarza nadszedł telegram kondolencyjny do państwa Rudeckich ze Słodkowic, z podpisami obu Michorowskich, pani Idalii i Luci. Drugi był do Stefci od Waldemara, w mniej ceremonialnym, serdecznym tonie. Waldemar wzmiankował o nagłym zasląbnieniu pana Macieja. Na Stefcię wieść ta podziałała piorunująco. Nie potrafiła ukryć wzruszenia. Na twarzy wykwitły ogniste wypieki.

– Co się mogło stać tak nagle? – rzekła pokazując telegram ojcu. Ale gdy Narnicki chciał wziąć, odebrała mu prawie z ręki. Zdziwiony wzruszył ramionami, lecz w domysłach swych posunął się naprzód. Nie czytana depesza Waldemara zaintrygowała go w dziwny sposób.

Pod wieczór mało osób pozostało w Ruczajewie, ale Narnicki nie wyjechał. Stefcia na wyraźną wolę rodziców musiała przebyć w domu jakiś czas.

Gdy znalazła się sama z ojcem w jego gabinecie, spytał ją ciekawie:

– Czy pan Maciej wiedział, jak się nazywała babcia?

– Wiedział i powiedziałam mu to jeszcze przed samym odjazdem, bo się pytał – odrzekła, błędąc z nieznanej trwogi.

– Czy wiedział również, jak z domu? To niemożliwe!

– Nie, o tym nie mówiłam nigdy, dopiero na końcu ordynatowi, gdy się zapytał.

– Ach! więc jednak pytał?

– Gdy wsiadałam już do karety.

– Ach tak! A czy pan Maciej był zupełnie zdrow, jak wyjeżdżałeś?

– Nie narzekał na nic.

– Musiał się od ordynata dowiedzieć i zachorował – szepnął pan Rudecki jakby do siebie.

– Co odczuś mówi? Czego się miał dowiedzieć?

– Czekaj, dziecko. Za chwilę zrozumiesz.

Otworzył biurko i wyjął spory pakiecik, starannie zawinięty w poślisk papier, obwiązany czarną wstążeczką. Oddał go Stefci, mówiąc drżącym głosem:

– To dla ciebie, dziecko, od babci. Poleciała mi to oddać tobie po pogrzebie. Babcia, umierając, troszczyła się o ciebie bardzo i oddała w twe ręce najdroższą swą pamiątkę. Była to jej świętość... uszanuj to, dziecko moje, i... niech cię Bóg strzeże! Dobranoc!

Poruszony, ze łzami w oczach, pan Rudecki ucałował oniemiałą Stefcię i prędko wyszedł z pokoju.

Stała na miejscu jak przykuta, obracając w ręku poślisk, dość ciężki pakiecik. Ulaty-

wała z niego woń starych papierów. Stefcie ogarnął niepokój, strach paniczny i ciekawość, co się znajduje pod czarną wstążeczką związaną na krzyż. Palcami chciała wyczuć zawartość paczki, zrozumiała, że jest w niej książka. Pobiegła do siebie, szepcząc jak nieprzytomna:

– Najdroższa pamiątka babci... jej świętość... Przeznaczyła dla mnie... Dlaczego?...

Głucha obawa przyspieszyła bicie jej serca. Stefcia wpadła do swego pokoju i zatrzasnęła drzwi.

– Czy oddałeś jej? – spytała pani Rudecka wchodzącego męża.

– Tak. Poszła do siebie. Biedne dziecko!

Pani Rudecka miała pełne oczy łez.

– Zmieniła się bardzo... Ale co sądzisz o niej?

– Kocha ordynata na pewno.

– I znowu Michorowski!... Boże! Boże!...

– Wina twojej matki, że tak mało znając jej historię, nie znaleźmy wcale nazwiska.

III

Stefcia w swym pokoju, przy biurczku, odwiązywała paczkę. Przedtem paliła ją ciekawość, teraz umyślnie zwlekała.

Odwinęła jeden papier, drugi. Gorączka zaczęła ją opanowywać, na twarzy miała wypieki, oczy płonęły. Nerwowym ruchem zerwała ostatni papier. Leżał teraz przed nią dość gruby zeszyt, ładnie oprawiony w ciemnopasową skórę. Na środku widniał złoty, nieco poczerwiał napis: „Nasz pamiętnik”. Na dole zeszytu stały obok siebie pojedyncze duże litery: S.K. M.M. Stefcia długo patrzyła na pasową książkę, nim ją wreszcie otworzyła. Wypadł z niej mały przedmiot, owinięty w bibułkę, i brzęknął na podłodze. Podniosła go, rozwinęła i z piersi jej wydarł się krzyk. Trzymała w ręku miniaturę pana Macieja... taką samą, jaką jej dał na imieniny...

Dziewczyna stała jak ogłuszona, ściskając oburącz skronie.

– Co to jest? On... tu? Co to znaczy?...

Z pośpiechem, trzęsąc się jak w febrze, otworzyła książkę. Szalone przecucia targały nią rozpaczliwie. Na drugiej kartce, na welinie, czerniał wyraźny, ładny charakter kobiecej ręki.

Stefcia czytała gorączkowo:

„Pamiętnik ten poświęcam naszej głębokiej miłości, jako dokument wieczny nigdy niewygasłych uczuć, stałej i obopólnej względem siebie wiary, bezgranicznej ufności i przywiązania...”

Pismo kobiece urywało się, tuż pod nim stały litery kreślone męską ręką:

„...by z czasem przyszłe pokolenia miały żywe świadectwo, że miłość jest potęgą kruszącą wszystko, że gorące uczucia zdolne są iść przebojem, łamać zapory i paść sobie w ramiona z okrzykiem niezmiernego szczęścia. Aureola otaczająca szczęśliwą miłość błyszczy tak jasno, jak nad głowami świętych. Aureola taka zajaśniała nad nami i dozgonną miłość naszą opromieniać będzie wiecznie”.

Pod tym następowały podpisy:

Stefania Korwiczówna.

Maciej, ordynat Michorowski.

– Jezus Maria!... – jęknęła Stefcia, padając ciężko na kolana.

Była jak martwa. Krew jej skrzepla w żyłach. Opanowało ją znieczulenie. Serce biło słabo z przerażenia i grozy. Klęczała z twarzą ukrytą w dłoniach. Głuche łkania wydzierały się jej z piersi przemocą, ale więzły w ściśniętej kurczowo krtani.

Wreszcie płacz wielki, rozdzierający, brzemienno bólem niewysłowionym, zatargał jej postać. Zrozumiała wszystko, co było dla niej tajemnicą. Stała w jej myśli sala portretowa w Głębowiczach i opowiadanie Waldemara. Więc tamta nieszczęsna narzeczona pana Macieja, którą kochał i porzucił, to jest jej babka?!... Więc ta wyniosła pani na portrecie, księżniczka de Bourbon, zajęła miejsce jej babki? Ona zabrała wszystko, co się tej należało, i miłość ukochanego człowieka... Miłości nie wzięła – to jedno pozostało własnością skrzywdzonej. Ale... może nawet o tym nie wiedziała?... Ona czuła się nieszczęsną, lecz i tamta kobieta miała ciężkie życie, i tamta cierpiała... Tu i tam sfera, fanatyzm, przesady zagroziły drogę do szczęścia.

A jednak on myślał inaczej. On mówił na pierwszej stronie pamiętnika, że gorące uczucia łamią wszystkie zapory. Stało się inaczej. Uległ fanatyzmowi własnej sfery, porzucił kochaną i kochającą kobietę dlatego tylko, że nie pochodziła z arystokratycznego domu. Nie wytrwał w zasadach, jakie głosił, jakie ją upajały. Zerwał zobowiązania, poszedł nie za głosem serca, lecz tam, gdzie wiodła go sfera i pyszny ród magnacki. Mitra dążyła do drugiej mitry, nie troszcząc się, że zdruzgotała serce, zbyt skromne, by się na nie oglądać. Dobry herb szlache-

ki, dobre nazwisko, lecz nie wpisane do złotej księgi magnatów, nie mogło łączyć się z błyszczącym herbem i nazwiskiem Michorowskich. Taka sobie pięciopalkowa korona może być chwilową zabawką dla mitry, ale nigdy zespolić się z nią. Na to istnieją odpowiednie przepisy i paragrafy. Przekroczenie ich uważane jest za zdradę stanu, za zbrodnię sferową. Takie przekroczenia karane są wydziedziczeniem, usunięciem z wyżyn sfery. Maciej zląkł się kary, poświęcił serce dla Molocha i całe życie nie zaznał szczęścia.

– Straszne! straszne!

Stefcię, wnuczkę tamtej, los zaprowadził w te same progi, rzucił prawie w te same warunki. Ona tego człowieka pokochała jak ojca...

Los nie tylko się na tym ograniczył, złe fatum poszło dalej. W tych samych progach jest znowu młody ordynat, noszący to samo nazwisko, i jest równie świetny.

Powtórzenie przeszłości.

Straszna ironia losu!

Stefcia zerwała się z klęczek; rozpaloną twarz przyciskając rękoma, przebiegła kilka razy pokój.

– Muszę to przerwać, muszę skończyć, choćby mi serce miało pęknąć – szeptała w gorączce. – A teraz czytać, czytać!

Oparła głowę na dłoniach, wpiła się palcami w skronie i czytała z bolesną chciwością.

Stefcia Korwiczówna opisywała krótko swe życie, rodzinę, warunki, wśród których wzrastała, wreszcie następował rozdział zatytułowany *Królewicz z bajki*.

Stefcia Rudecka czytała:

„Marzyłam o nim, nie znając... byłam pewna, że przyjdzie taki i od razu mię weźmie. Miałam już przecucie szczęścia. Śmiał się ze mnie ojciec, nakładając długi cybuch fajki, i zwykł był mawiać: «Marzycielka, marzycielka!»

Jakoż była to prawda. Może pod wpływem starej niani, która mię karmiła bajkami, lubiłam marzyć i snuć złote sny. Kochałam piękne wieczory majowe i zachody słońca, bo wówczas, bujając w przestworzach rojeń, widziałam jego – królewicza z bajki. Lubiłam słuchać śpiewu słowika i rechotania żab, nasuwało mi to słodkie myśli. I zdarzył się dzień przepiękny. Pozostanie on dla mnie pamiętnym. Ujrzałam jego – królewicza z bajki...

Było to na wielkim festynie w bogatym pałacu szambelana Łosiatyńskiego. Mój ojciec jest jego kolegą szkolnym i serdecznym przyjacielem. Zjechaliśmy na bal całym domem. I kiedy w gronie panien wchodziłam z ogrodu na taras, w różowej tarlatanowej sukni i kwieciu we włosach, ujrzałam jego w stroju ułańskim. Od razu poznałam swój wymarzony ideał. Przystojny, zgrabny, z niedbałą elegancją, wytwornym obejściem i z wielkopańskim tonem w całej postaci, zachwycił mię, przykuł do miejsca. Zbliżył się do nas prędko i przedstawiony przez szambelana, pierwszy raz uścisnął mi rękę. Ach! te jego ciemnoszare oczy! Miały trochę szyderstwa, ale tyle przy tym ognia i siły...”

Stefcia podniosła głowę, ręce spłótła kurczowo i szeptała:

– Zupełnie jak ten... zupełnie!... Przystojny, z niedbałą wielkopańską elegancją, z szarymi oczyma, z szyderstwem i siłą w wyrazie. Zupełnie jak ten... Dalej!... co dalej?

„Pokochaliśmy się od razu, dusze nasze leciały ku sobie bez słowa. Ze mną tańczył najwięcej i tak umiał mówić, tak porywać!... Wyjechałam z balu oczarowana. Przestrasza mię jego wielkość. Przyjaciółki mówią mi, że on magnat, ordynat na Głębowiczach. Michorowski, z mitrą księcia w herbie, milioner. Nie chcę o tym słyszeć, mając w oczach jego obraz. Przyjaciółki ostrzegają mię, że taki magnat nie dla mnie, że nie powinnam o nim nawet śnić”.

– Boże! Boże! – jęknęła Stefcia.

„Ale nie wierzyłam, czując, że i on mię pokochał. Jakoż wiara mię nie zawiodła. W kilka dni po balu był u nas w Sniżewie i już widuję go prawie co dzień. Najpierw przyjeżdżał od

Łosiatyńskich, potem parę razy prosto z Głębowicz rozstawnymi końmi, choć to szalony kawał drogi. Ach! co za szczęście, gdy usłyszysz trąbkę strzelca głębowickiego! Znam już ją tak dobrze jak dzwonek naszego kościółka. Tymczasem Maciej kupił w naszej okolicy nieduży majątek (zdziwił tym wszystkich weteranów) i tam zamieszkał, odwiedzając nas stale. Wszyscy zrozumieli powód dziwnego kupna. Ojciec mój z początku krzywo patrzył na te konkury, ale już nie bronił. Jemu zaimponowało świetne nazwisko i ordynacja. Polubił Macieja za jego dzielność i za prawe, szlachetne zasady. Bardzo prędko wyznaliśmy sobie naszą miłość. Teraz Maciej deklarował rodzicom. Ojciec mój z początku gniewał się, mówił, że powinien najpierw otrzymać pozwolenie własnej rodziny, ale Maciej za to ręczy swoim honorem. A ponieważ jego matka i stryj, najbliżsi krewni, nie są w kraju, więc zaręczyny nasze już się odbyły. Jakże go kocham i jak on mnie kocha! Odtąd życie płynie nam w blaskach promiennej zorzy i chyba przetrwa wieki, bo tak wielkie szczęście nie może mieć kresu”.

Trochę dalej był jego dopisek:

„...Szczęście nasze wzmocni się, ukochana, gdy się połączymy węzłem nierozzerwalnym... gdy wsparta na mej dłoni przejdiesz przez życie zawsze taka czysta, biała i urocza. Nie trwóż się, nie obawiaj, zawierz memu słowu: będziesz moją, ty albo żadna!... I nie myśl, że szczęście nasze natrafi na jakoweś przeszkody stawiane przez mój świat. On stanie się i twoim: nie ma różnic sferowych tam, gdzie jest miłość. Muszą się na to zgodzić wszyscy moi i pokochają cię, jedyna, boś godna tego”.

Stefcia oddychała szybko, płacz ją chwycił na nowo. Tłumiąc łzy, siłą woli uspokoiła się i czytała. Następowaly rozdziały tchnące szczęściem, bezmierną radością młodych, gorących dusz. On dopisywał się w wielu miejscach. W jednym rozdziale ona pisała:

„Boję się, czy ta wielkość jego nie zaćmi nam promiennej drogi... czy sfera, do której on należy, nie skuje go kajdanami. To jak chmura płami moją zorzę”.

Po tym urywku był znowu jego dopisek, już w drugim rozdziale:

„Gdyby nawet nastąpiła walka, jak przypuszczasz, moja najdroższa Steniu, pamiętaj, że twój Maciej zaręczył honorem; zanadto cię kocha, żeby pozwolił sobie wydrzeć największe szczęście. Zwalczę wszelkie przesady, gdyby istniały, chcę iść przebojem, a nie dam się skuć w kajdany. Proszę cię, jedyna, ufaj mi bezgranicznie. Zobaczysz, ile szczęścia oczekuje nas!”

Widocznie on odczytywał pamiętnik narzeczonej i dodawał własne myśli. Razem opowiadali cudną epopeję swej miłości, razem nurzali się w szczęściu. Były w pamiętniku opisy wspólnie przeżytych dni i opisy rozmów. Potem obraz zaczął się zaciemniać. On wyjechał do rodziny po pozwolenie i błogosławieństwo, ona miała się przygotowywać do ślubu. Rozdział ten był wstrząsający. Babka Stefci pisała:

„Straszną miałam chwilę, gdy ujrzała kocz jego zaprzężony do drogi. Staliśmy oboje w ogrodzie. Bzy kwitły, śpiewały słowiki i tak było cudownie na świecie!... Maciej, wzruszony bardzo, całował mnie, tuląc w objęciach. Prosił, bym się nie obawiała, mówił, że wkrótce powróci z pozwoleniem matki i zawiezie mnie do niej po błogosławieństwo. Boję się tej dumnej pani. Jest podobno bardzo piękna i pochodzi ze znakomitej rodziny hrabiowskiej na Węgrzech, Esterhazyh. Wierzę Maciejowi i ufam głęboko, ale gdy wyjeżdżał, serce pękało mi z bólu, rozpływałam się we łzach. Nareszcie wybiła godzina rozstania: musiał jechać. Po długich pożegnaniach i zaklęciach, gdy kocz ruszył z miejsca, krzyknęłam przeraźliwie: «Ma-

cieju, nie odjeżdżaj!» – Ogarnęła mnie rozpacz. On zatrzymał się, wyskoczył z pojazdu i udało mu się mnie utulić. Tyle wzbudził we mnie wiary, że ostatecznie pożegnałam go z uśmiechem. Ojciec mój błogosławił go krzyżem. W miarę jak się oddalał, głucha rozpacz wzbierała w moim sercu, czarna zasłona spadła mi na oczy. Gdy kocz jego zniknął na zakręcie drogi, padłam bez czucia!”

Stefcia Rudecka potarła czoło.

– To było pewno... ostatnie ich widzenie się – szepnęła zbladłymi ustami.

Dalsze stronicie miały w sobie pełno smutku. Osobno powklejane listy od niego, bardzo czułe, świadczyły, że kochał ją stale. Długim szeregiem kart rozwodziły się żale i tęsknota młodej narzeczonej. Rozdziały szły coraz krótsze, coraz smutniejsze. Miejscami plamiły welin wyraźne ślady łez, nie zatarte przez lata. Listy od niego urwały się. Jeszcze kilka smutnych stronic i Stefcia zobaczyła wklejony krótki list, zapisany obcym pismem, oprowadzony czarną obwódką z atramentu, widocznie zrobioną przez jej babkę. Był to list od stryja, Cezara Michorowskiego, opiekuna ordynata Macieja. W zimnych słowach oznajmił on Stefci Korwiczównie o zerwaniu zaręczyn z Maciejem – z jego wiadomością i zgodą. Stawiał za główny powód nierówność partii i różnice sferowe. Zresztą nie tłumaczył się bardzo. Dopisek Macieja zdradzał pewien wstyd, nawet smutek, ale nic więcej. Młody Michorowski odsyłał pierścionelek dodając, że los dzieli ich nieodwołalnie. Życzeń na przyszłość nie składał, nie nazywał przeznaczenia głównym winowajcą. Musiał pojmować, że rani jej serce, i nie chciał takimi wykrętami dobijać jej.

Stefcia powstała oburzona.

– Więc tak?... Więc gdzież są jego zapewnienia, które czytałam na początku pamiętnika... Gdzież miłość krusząca wszelkie przesady? Więc ta sfera jest aż tak silną, że łamie najświętsze zobowiązania? Ze pozbawia honoru z taką łatwością, z jaką ściąga się pierścionelek z palca?... Gdzież są jego słowa wobec czynów?... Więc blask tej sfery jest tak wielki, że potrafi wchłaniać w siebie ciemne i brudne plamy bezkarnie? Więc będąc magnatem można deptać serca ludzkie? zabijać je niemiłosierną doktryną swych przesądów? poświęcać je dla milionów i blichtrów? Gdzież sumienie?!... gdzie serce?! gdzie uczciwość?! gdzie wreszcie własne pragnienie szczęścia, wkorzenione w duszy każdego człowieka? Czy to wszystko dąży za sferą – dla zasady?...

Stefcia biegła gorączkowo, mówiąc do siebie urywane słowa jak w malignie. Pierś jej falowała szybko, pełna niewysłowionej goryczy.

– A Waldemar?... i ten tak samo mówił w sali portretowej. On winił dziadka, zarzucał mu brak energii i stanowczości. Ale czy sam potrafiłby postąpić inaczej? Czy zdołałby złamać przekonania, zdruzgotać fanatyzm swego świata? Czy tytuł, sfera, miliony nie są jego wyłącznym dogmatem, wpojonym w krew? Czy dla niego miłość ukochanej kobiety mogłaby być absolutną i czy dla niej położyłby wszystko na szali? Czy jego słowa nie są równie puste i beztreściwe, jak były tamtego?...

Pytania cisnęły się Stefci na usta z bolesną ironią. Serce broniło Waldemara, dodawało mu skrzydeł, apoteozowało go niemal. Lecz rozum zimną i szorstką dłonią tłumił idealne porwy, nasuwając krytyczniejsze myśli. Stefcia wołała w uniesieniu:

– I ten postąpiłby tak samo! Boże! Boże!... dodaj mi sił do wycofania się z tego błędnego koła. Całe szczęście, że on może nie kocha mnie tak, jak tamten babkę. Jak ona to zniosła, jak przeżyła?

Stefcia, mówiąc do siebie, chwilami głośno, często nie rozumiała się. Ostatnie pytanie wznowiło jej ciekawość, rzuciła się do książki.

Już tylko kilka kartek, pisanych nierównym pismem.

Czytała:

„Wszystko kłamstwo: i jego miłość, i jego zapewnienia, i ta wiara, którą mnie poił – wszystko! Sam zbudował nasze krótkotrwałe szczęście i sam zakopał je w grobie, by sadzić na nim kwiaty swej przyszłej chwały. Nikczemny! podły!... Nie, nie – zawsze kochany, na wieki, na życie całe! To tamci podli... ci, co go obezwładnili, co mu nałożyli pęta. A jednak dał słowo honoru, uległ im, więc któż on jest?... Słaby, bezsilny. A może nie kochał mię? Niechby pozostała choć ta nadzieja, jako jedyny kwiat z cudnej łąki, jako jeden promyczek tęczy z świetlistej zorzy! Czy on mię kocha jeszcze, czy cierpi nad zerwaniem? – to pytanie poniosę do grobu. Zgniótł mię, zdruzgotał, strącił z wyżyn szczęścia. Kilka nielitościwych słów wystarczyło do zabicia duszy, żyjącej dla niego, i serca, które sam obudził. Przeklęty świat! przeklęta sfera! ona mi go zabrała!... Nie! bo on jest z niej, on wśród niej żyje. To tylko przeklęty los! Kocham go – nienawidząc, kocham – pogardzając! Jak mi ciemno, jak głucho, jak bezgranicznie głucho! Znikąd światła! nic, nic!...”

Pismo kończyło się. Kilka kartek nie zapisanych, pustych jak dusza, co w nich zamarła... Na ostatnich stronicach Stefcia czytała ze ściśniętym sercem:

„...Ożenił się w Paryżu... z księżniczką de Bourbon, córką znakomitego rodu, spokrewnionego z królami. Gazety roznoszą ich podobizny: piękni oboje; nie wyglądają jednak na szczęśliwych, ale to może tylko moje oczy tak coś ćmi. Pobrali się i będą szczęśliwi... A ja? a ja?... Wobec księżniczki de Bourbon cóż znacze? Nic dla niego, nic dla świata. Złamane mam serce, złamaną duszę, ale wobec miłoty księżniczki i to nie znaczy nic. Dwie korony, świetne, błyszczące, i ja... z krwawą raną. Ach! jakaż nędza!...”

Długa przerwa, potem kilka gorzkich słów i znowu ślady łez.

„...Taka wielkość... i taka podłość! Jak on mógł tak postąpić? I dlaczego ręczył? Czyż i on rozczarował się, czy wierzył w nasze połączenie?... Och! on wierzył! Niepodobna, aby był tak niesłuchanie obłudnym. On szlachetny, tylko słaby, a ta sfera to potęga, tytaniczna siła... porwała go, chwycił go prąd bez ratunku. Gdyby już nie pisał, nie odsyłał pierścionka... Ale taki lód w jego słowach! O Boże!

Przyjechał z Głębowicz jakiś urzędnik, podobno sekretarz. Sprzedaje Wołkszę, jego majątek w naszym sąsiedztwie. Pewno! już mu teraz niepotrzebny. Wołksza. Wołksza!... jakie to dla mnie było drogie imię. Stracone wszystko! pustka, pustka... zabijająca, okropna! i czarne robactwo rozpaczy. Mrowie... mrowie... robactwa!

Taka ironia! Kochałam świat, teraz go nienawidzę. Napoił mię goryczą. To już moja Golgota.

A żyć trzeba. Nie dano mi umrzeć: odratowali mię, wydarli truciznę z mego organizmu... Rozpacz! rozpacz! Nasz kapelan mówi mi wiele o Bogu i obowiązkach względem Niego. Czy to ratunek?...”

Znowu przerwa – po czym kilka słów:

„Ojciec mój miał atak sercowy. Maciej i jego zabił. Jestem jedynaczką, kocha mię bardzo i cierpi, strasznie cierpi”.

Szereg czystych kart, na ostatniej zakończenie:

„...Rok po śmierci ojca... Wychodzę za mąż. Musiałam to przysiąc umierającemu ojcu, spełniam ostatnią jego wolę. Wychodzę za człowieka, którego mi sam wybrał, i na łożu śmierci, w ostatniej chwili złączył nam ręce, kazał przysięgać. I już jutro mój ślub. Mój ślub!

Czy to możliwe? Boże, jaka męka! Tak się kończy na świecie wszystko, na tym okrutnym, kłamliwym świecie. Rana moja nie zagojona i pozostanie otwartą. Powiedziałam Rembowskiemu wszystko, jednak zgodził się wziąć mnie za żonę.

Podziwiam jego odwagę! On mnie kocha... Gdyby było inaczej, gdyby nie kochał, wobec mego wyznania mógłby mnie rozwiązać z przysięgi. Znalazłabym spokój może za kratą! Ale ja się nie boję nowego życia. Nic mnie już gorszego nie czeka. Tylko dziś, dziś w wilię ślubu, gdy zamykam na zawsze ten nieszczęsny pamiętnik, dziś przeklinam minione szczęście! Nie zaznam go już więcej. A on, jeśli zapomniał i jest szczęśliwy... niech nim pozostanie. Ja go nie przeklinam, ale to się mści, to się zemścić musi!”

Koniec.

Stefcia zamknęła gwałtownie książkę. Przerazenie, ból niezmierny, żal i ostatnie słowa pamiętnika: „To się mści, to się zemścić musi!” – porwały ją z miejsca.

– Straszne! Straszne!

Dziewczyna, rozdrażniona wrażeniami i długim czuwaniem, nie panowała już nad nerwami. Stanęła przed nią wizja bladej mary, mścicielki, rodowej Nemezys i wyciągała do struchlałej ramiona.

Stefcia krzyknęła głośno.

Drzwi się otworzyły, weszła jej matka.

Stefcia przypadła do niej z okrzykiem trwogi, kolana się pod nią gięły, uklęknęła.

– Mamo! mamó! wiem wszystko, czytałam... Straszne! To się mści, to się mści!

Pani Rudecka pochyliła się nad córką.

Blady zimowy świt, wpełzający przez okna, uwypuklał zboląłą grupę, nad którą zawisła groza.

IV

Długi czas Stefcia nie mogła się uspokoić. Odkryta prawda była dla niej tym boleśniej-sza, że i sama kochała Waldemara. Dramat babki zdawał się w niej powtarzać.

– Jak to się stało, mamó? Jak to było z babcią? – pytała Stefcia.

Pani Rudecka tuliła załzawioną córkę, razem z nią przerażona.

– Słyszałaś, moje dziecko, że babcia nic nie wiedziała, gdzie się właściwie znajdujesz. Nie wymieniałam nazwiska pani Elzonowskiej: to by ją od razu uświadomiło, że jesteś w domu arystokratycznym. Ona obawiała się dla nas arystokracji. Napisałam, że jesteś w rodzinie obywatelskiej, u naszych znajomych. Pytała się o ciebie często, wyrzucając nam, żeśmy cię oddali do obcego domu. I nas to gryzło, tęskniliśmy za tobą. Ale czekaliśmy cierpliwie do roku. Tak się tobą cieszyłam, kiedy ojciec powrócił z wystawy i opowiadał, żeś jeszcze wy-ladniała, że masz wielkie powodzenie. Te kwiaty przysłane mówiły o tym. Byłam szczęśliwą, tylko... – zresztą mówmy o babci.

Stefcia zrozumiała, co matka chciała powiedzieć.

– Mówmy o babce – ciągnęła pani Rudecka. – Jak wiesz, była ona patriotką, interesowało ją, co się dzieje w kraju i u nas. Na jej żądanie ojciec opisał wystawę dość obszernie i dużo wspominał o tobie. Stało się to niedawno. W liście wymienił nieostrożnie nazwisko pani Elzonowskiej jako matki twej uczennicy; dodał, że jest z domu Michorowska. Nie pojmuję, co się ojcu stało. Same nazwiska świadczyły, że przebywałeś u magnatów. Ale biedny ojciec nie wiedział, co wstrząśnie najbardziej babcią. Przy tym chcąc jej zrobić przyjemność, posłał kilka ilustrowanych pism z czasu wystawy, gdzie były szczegółowe informacje dotyczące wystawców, ekspertów oraz opisy zabaw. Między portretami znajdował się wizerunek młodego ordynata, Waldemara. W liczbie pań ekspertek wymieniono panią Elzonowską, z domu ordynatównę Michorowską, córkę Macieja i księżniczki de Bourbon. Wszystko to zrobiło na biednej babci nagle i straszne wrażenie. Nastąpił silny atak sercowy i pomimo przedstawień doktora i panny Elwiry natychmiast wyjechała do nas. Musieliśmy powiedzieć prawdę. Słuchając opowiadań ojca, zresztą dość oględnych, patrzyła mu w oczy badawczo, ciągle pytając nie o Macieja, lecz o Waldemara. Musiał go jej ojciec opisać szczegółowo. Była bardzo zmieniona, nie mogliśmy pojąć, co ją tak przeraża. Gdy ojciec mówił o wielkiej sympatii pana Macieja do ciebie, że nazywałeś go dziadkiem i że jesteś do niego bardzo przywiązana, babcia niespodziewanie rozplakała się. Byliśmy przestraszeni, nic nie rozumiejąc. Ale babcia nie objaśniała nas, mówiła tylko, że chce, abyś jak najprędzej powróciła. Ojciec do ciebie napisał nawet list i pokazał babci. Pod wieczór zastałam babcię w salonie. Oglądała chciwie fotografie z Głębowicz. Gdy weszłam, pokazała waszą grupę w kostiumach. Ordynat stoi tam tuż obok ciebie, ma pochyloną głowę i patrzy na twój profil z wyrazem istotnie zastanawiającym. Ty jesteś także jak natchniona. Nas to również uderzyło. Ale babcia, jak się okazało, знаła dobrze ten wyraz i te rysy. On podobny do swego dziadka, a ty do niej. Grupa ta wstrząsnęła nią... „I wy to widzicie? i wy na to pozwalacie? przecie to jasne jak dzień, że oni się kochają” – mówiła wzburzona, gniotąc moją rękę. Zaczęła bardzo nalegać, żeby cię stamtąd zabrać. Całą noc spędziła w niezwykłym podnieceniu. Czuwaliśmy przy niej. Majaczyła. Nad ranem nastąpił gwałtowny atak. Już zdawała się konać. Szczęściem, przeczuwając to, sprowadziliśmy lekarza. Atak minął, zażądała księdza. Po olejach świętych, wezwawszy nas oboje do siebie, powiedziała wszystko. Straszną przeżyliśmy chwilę! Ten człowiek, który złamał jej życie i uczynił ją nieszczęśliwą, to Maciej Michorowski – dziadzio, o którym tyle i tak serdecznie pisałaś. Ogarnęła nas straszna obawa o ciebie, dziecko, bo gdyby nie młody ordynat... ale ten szczegół i babcię najwięcej przeraził. Ciągłe mówiła o tobie z miłością i lękiem. Oddała ojcu paczkę z pamiętnikiem, oglądała fotografię, szepcząc sobie różne uwagi. Na ciebie mówiła: „Biedna śliczna”. Patrząc na niego szeptała: „Taki sam, taki sam”, albo „Widzenie z młodo-

ści, moje fatum”. Przeczuwała śmierć, bo poleciła ojcu, aby oddał ci pamiątnik po pogrzebie. Nazywała tę książkę skarbem, nie mogła się z nią rozstać. Przyszedł nowy atak i odebrał jej życie.

Pani Rudecka podniosła chustkę do oczu.

Stefcia, oparta o jej kolana, trzęsła się. Łkania rozrywały jej piersi.

– Dlaczego, mamó, nie wezwaliście mię wcześniej?

– Nie było czasu, dziecko, wszystko to stało się tak nagle.

Pani Rudecka gładziła włosy Stefci, ze łzami w oczach patrząc na jej śliczną, złamaną bólem postać. Tuląc ją do siebie, spytała cicho:

– Stefciu, dziecko moje, bądź ze mną szczerą, powiedz prawdę: ty... kochasz ordynata?

Dziewczyna załkała głośnie.

– Tak, tak!

– Jak ona odgadła, jak zrozumiała! – szepnęła pani Rudecka o zmarłej matce. – Stefciu, ty powinnaś wyjechać stamtąd.

– Wyjadę, mamó, powrócę do was, ale – tak mi ciężko...

Państwo Rudeccy zatrzymali Stefcię na parę tygodni. Była rozstrojoną, bali się o jej zdrowie. Matka starała się łagodzić żal córki. Ojciec oddziaływał na Stefcię zawsze jak najlepiej. Dziewczyna uspokajała się powoli, tęskniąc za Słodkowcami. Odwracała uparcie myśli od Waldemara, lecz daremnie: stał ciągle w jej oczach, świetny, wspaniały, zwycięski. Takim samym był niegdyś i Maciej. Stefcia czytała pamiątnik babki, coraz nowe odnajdując podobieństwo Waldemara do Macieja. Tylko Waldemar posiadał więcej energii w życiu codziennym i więcej ironii. A także posiadał słabszą wiarę w ludzi i większą niezłomność charakteru.

– Czy i on postąpiłby tak samo?

Chciała zagłuszyć w sobie tęsknotę, ale nie mogła. Przywykła do innego życia. Bez komfortu żyć łatwo, gdy się go nie zaznało, ale odzwyczaić się trudno. Stefcia nie okazywała tego, jednak brakło jej czegoś. Zabawy z ośmioletnią Zosią, zawsze bardzo kochaną, nie mogły jej teraz rozruszać. Brat Jurek, wesoły czternastoletni urwis, uczący się w domu, drażnił Stefcię hałasami. Dziewczyna nie poznawała samej siebie; przed rokiem i ona bawiła się w konie z bratem i siostrą, nie mniej od nich sprawiając hałas. Teraz Zosia spoglądała na nią z pewną obawą, a w obejściu jej przebijał wielki dla siostry szacunek. Nie ciągała jej jak dawniej za suknie. Ale pieczyoty Stefci robiły na małej wrażenie.

– Co tam Jurek mówi, że Stefcia się zmieniła! On kłamie. Stefcia taka sama dobra jak przedtem.

I wyciągając różaną buzię w długi ciup, dodawała zaraz:

– Stefciu, mów mi o Luci, ja ją tak lubię.

Zaczynało się opowiadanie, które i Stefcia lubiła, bo ją przenosiło do Słodkowic.

Z Jerzykiem sprawa była trudniejsza. Chłopak zerkał na starszą siostrę oburzony i wszystkim po kolei powtarzał:

– Stefa to już całkiem dorosła panna. Nawet w konie nie chce się bawić, tylko tak coś myśli i myśli. Jej już trzeba tren dodać do sukni.

Stefcia zjednała go sobie, opowiadaniem o stajni, zwierzyńcu i psiarni w Głębowiczach. Za to nie miała już spokoju, domagał się ciągle nowych szczegółów. Raz podczas lekcji zapytał swego nauczyciela, młodego studenta prawa, wielkiego demokraty:

– Jak się panu podoba Stefa?

– Bardzo ładna panna i bardzo miła.

– E! pan tak mówi dlatego, że ja jej brat. Ale niech pan mi powie jak swemu koledze, w zaufaniu.

– Mówię prawdę: ładna i miła, tylko... wielka dama.

Jurek otworzył szeroko oczy i usta.

– Jak to? – Stefa to jest Stefa, nie żadna wielka dama.

– Ty tego nie rozumiesz. Panna Stefania jest przesiąknięta arystokracją. Jest sympatyczna i niedumna, bo jej nie zdążyli jeszcze zmienić, ale i to przyjdzie z czasem. Oni ją przerobią na swój sposób.

Jerzyk ujął się za siostrą:

– Wcale nie! Stefa będzie zawsze naszą, nie jakąś tam arystokratką. Szkoda, że tak spoważniała, ale to pewno tylko teraz, bo babcia umarła. Ona się potem poprawi.

Zamyślił się i spytał znowu:

– A czy arystokracja to co złego?

Student skrzywił usta z lekceważeniem.

– Nic mądrego, w społeczeństwie to zero. Ale powtarzam, ty tego nie rozumiesz.

– Ale takich koni, jakie są w Słodkowcach i Głębowiczach, to nawet u nas nie ma. Oho! ja wiem, Stefcia mi opowiadała. A jakie zwierzęta, a jakie psy! a najładniejszy wielki dog Pandur, co biega zawsze za ordynatem. Pan go widział na fotografii głębowickiej ze zwierzynią.

Student wzruszył ramionami. Nie lubił, gdy mu ktoś wspominał Głębowicze, bo ordynat, którego znał ze słyszenia, dziwnie jakoś paczył jego pojęcia, jakie sobie urobił o arystokracji, a młody prawnik wyjątków w swej regule nie uznawał.

Śledził także Stefcie Narnicki. Z prowadzonych z nią rozmów doszedł do wniosku, że ordynat Michorowski nie jest jej obojętnym. I to go drażniło. Czy Stefcia ma wzajemność, nie mógł dociec. Ale Narnicki niedługo pozostawał w niepewności.

Klucza do rozwiązania tej zagadki dostarczyły mu fotografie głębowickie. Zresztą wiedział, że taka Stefcia musiała się podobać i że grozi jej niebezpieczeństwo ze strony ordynata, zwłaszcza jeśli on dostrzegł jej skłonność ku sobie. Narnicki nie znał dokładnie smutnej historii zmarłej ciotki Rembowskiej, prócz mętnej legendy, krążącej w rodzinie. Nie wiedział o rzeczy najważniejszej, polegającej na zbiegu okoliczności – o owym złym fatum, które zawisło teraz nad Stefcia. Nie rozumiał, co się z nią dzieje. Nie chciał wierzyć, że Stefcia kocha się bez wzajemności: miał na to za wiele dowodów przeciwnych. Ale w jego mniemaniu to jedynie mogłoby ją ocalić. Tymczasem otaczał Stefcie opieką, chcąc ją najdłużej zatrzymać w Ruczajewie. Nie narzucał się jej, ale czuwał bez przerwy. Stefcia zawsze go miała przy sobie. Któregoś dnia poprosił ją o fotografie z Głębowicz. Poszli razem oglądać. Stefcia rozłożyła wielkie kartony zbiorowych grup i przyglądała się z takim namaszczeniem, jakby je widziała po raz pierwszy. Narnicki patrzył na nią uważnie.

– Czy was tu kto pozował, kuzynko? – spytał wskazując na grupę w kostiumach.

– Naturalnie. Fotograf.

– Ordynat nie wygląda na upozowanego.

– Tak, on stanął sam.

– A widać to.

– Podoba ci się? – spytała Stefcia, udając obojętną minę.

– Kto, ordynat?

– No, tak...

Narnicki chciał powiedzieć: “wymuskany lalusz”, ale spostrzegł się w porę, że byłoby to kłamstwo zbyt rażące i że Stefcia odgadłaby jego intencję. Zazdrość wyrażona w ten sposób wydała mu się niską i Narnicki odpowiedział szczerze:

– Przystojny i bardzo elegancki, a nade wszystko wybitnie typowy.

Stefcia spojrzała na kuzyna z wdzięcznością.

– Tak, dobrześ powiedział. To jego cecha główna.

Narnicki zauważył jej nagłe ożywienie i postanowił mówić dalej, nie spuszczać z niej oczu.

– Wśród nich wszystkich on wygląda na luminarza. Ma rozumny wyraz twarzy i znać w nim lwią energię. Tacy ludzie idą do celu śmiało, depcząc wszelkie przeszkody, i dlatego nie